

Wyznania starego muchomora

9 października 2015

Dopóki lewicowi politycy nie będą czuli na swoich karkach ciężkiego, skacowanego oddechu mas, nic a nic się nie zmieni – mówi prof. dr hab. Jan Kurowicki, filozof, eseista, krytyki literacki.

– W wydanym ostatnio zbiorze esejów „0 pożytku ze zła wspólnego” napisał Pan, że czuje się w III RP jak muchomor z wiersza Jerzego Harasymowicza – którego nikt nie lubi, wszyscy unikają, mówią, że jest trujący, choć on jest artystą, a nie do żarcia. To figura stylistyczna czy naprawdę uważa Pan, że jest aż tak źle?

– Ze mną to jeszcze pół biedy, bo jako emeryt i tak nie jestem strawny. Znam jednak sytuację kolegów, którzy są politologami, socjologami, filozofami, ekonomistami, a przy okazji także marksistami. Jeśli na swoich uczelniach próbują przekazać studentom co nieco z teorii marksizmu, są na indeksie i trafiają do akademickiego getta. Uważa się, że trują, choć oni wszak – też tylko artyści...

– Zaczyna się znowu moda na czytanie Marksa. Wznawia się jego książki i dyskutuje nad nimi. To ważny ideowy sygnał po 25 latach wbijania go w ziemię. To Pańskie słowa, zalewie sprzed roku.

– Tak, ale też zaraz dodałem, że wprawdzie wraca ta moda, lecz teksty Marksa nadal funkcjonują u nas tylko jako swoiste ucieleśnienie intelektualnej niegodziwości i zła, które – podobno – urzeczywistniała praktyka budowania „komunizmu”.

– Co to znaczy „być komunistą”?

– Dzisiaj? W Polsce?! Nic albo obelgę. W PRL było inaczej. Na początku lat 80. w wywiadzie, którego udzieliłem Piotrowi Gadzinowskiemu, powiedziałem, że być nim, to działać

politycznie na rzecz zmiany ustroju kapitalistycznego na ustrój społeczeństwa bezklasowego. Kłopot w tym, że nie da się tego robić bez partii, która reprezentuje i realizuje interesy i dalekosiężne cele klas ludzi pracy. Bez niej jest się najwyżej marksistowskim lewicowcem bez przydziału. I wciąż próbuje się go wdeptać w ziemię, bo od 25 lat stygmatyzuje się ludzi związanych z systemem politycznym PRL-u. „Czerwony” z założenia nie może być myślący, inteligentny, otwarty i uczciwy. Nie stałem się jednak takim muchomorem dopiero od nastania nowego wspaniałego ustroju. Niestety, zawsze byłem trujący, bo za mało mi było socjalizmu w minionym ustroju. A po wprowadzeniu stanu wojennego pisałem i mówiłem, że prędzej lub później musi się wydarzyć swoisty powrót do roku 1980 i „karnawału Solidarności”. Nie wiedziałem wprawdzie, co to będzie, ale i tak byłem pełen niepokoju. A potem przyszedł rok 1989 i się stało...

– Proszę państwa, 4 czerwca skończył się w Polsce komunizm – ogłosiła wtedy w „Dzienniku Telewizyjnym” Szczepkowska.

– Idiotyczny wygłup. Do dziś nie rozumiem, jak można było powiedzieć o upadku komunizmu w kraju, w którym go nie było.

– A jak nazwać to, co było?

– Zzeranym przez biurokracizm okresem przejściowym od kapitalizmu do społeczeństwa bezklasowego. Jego znamiona opisałem m.in. w 1983 roku w książce „Biurokracizm i władza”. Nie zdefiniowałem jednak biurokracizmu tak, jak to się najczęściej czyni, czyli jako rządów bezdusznych, nieudolnych formalistów, bo dla mnie oznacza on prywatne zawłaszczanie za pomocą społecznych środków rządzenia. Zawłaszczanie różnych rzeczy: od nienależnych bogactw po przywileje, prestiż, wysokie stanowisko itp. Niestety już od początku – a z biegiem lat coraz mocniej – PZPR podporządkowywała się doraźnym interesom funkcjonariuszy władzy i ich klienteli, wyrzekała się celów strategicznych, a swą ideologię zmieniała w puste frazesy. Zamiast być magnesem dla autentycznych zwolenników –

przyciągała karierowiczów bez zasad. Stała się poniekąd Związkiem Zawodowym Rządzących. Przez to państwo traciło charakter robotniczy. Aż pozbyło się go z kretesem i poddało się miłościwie nam panującym (nie tylko) bożym barankom.

– Logicznie rzecz biorąc, musiał Pan mieć po dziurki w nosie realiów PRL-u. Z poglądami takimi jak Pańskie trafiało się wtedy do podziemnej Solidarności.

– W ogóle nie miałem takich pokus, widziałem jasno, do czego ona zmierza. Odstრęczało mnie jej uplątanie w bigoteryjny Kościół, ślepotą na nacjonalne kołtuństwo i wiara w mit Zachodu. Opowiem o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce bodaj w 1990 roku. Spotkałem się wtedy z Józefem Piniorem, który należał do niezbyt licznej solidarnościowej lewicy. Odbyliśmy długą nocną Polaków rozmowę o tzw. minionych czasach i o tym, jak widzimy rzeczywistość po roku 1989. Powiedziałem mu wtedy coś takiego: „Mój drogi Józku, tobie się wydawało, że grupa, z którą się identyfikowałeś, przeobrazi Solidarność od wewnątrz i poprowadzi lud do szczęśliwej przyszłości, czyli do socjalizmu. A ja myślałem, że dokładnie to samo zrobi grupa, z którą utożsamiałem się wewnątrz partii. I obaj sami siebie wprowadziliśmy w błąd”... Józek pokiwał głową, wypiliśmy jedną wódkę, drugą... Przepraszam, wódkę piłem ja. Józek zwykł pić czerwone wino... Cóż mogę do tego dodać? Może tylko to, że byłem młody i bardzo naiwny.

– Psycholodzy twierdzą, że z naiwnością spotykamy się przede wszystkim u dzieci, u osób mało rozgarniętych, nieposiadających podstawowej wiedzy albo mających kłopot z kojarzeniem faktów. Oni są ufni, ale nie za mądrzy. A Pan należał do intelektualnej czołówki – filozof, publicysta, ideolog...

– Inteligencja i wiedza, nawet jeśli są spore, nie przeszkadzają być naiwnym. Naprawdę wierzyłem, że takich zapaleńców jak ja jest dostatecznie wielu i wspólnie „ruszymy bryłę z posad świata”. Niestety, ta bryła przygniotła nas.

Ponadto: od 25 lat lewicowej partii z prawdziwego zdarzenia nie było przecież i nie ma. Ludzie Sojuszu Lewicy Demokratycznej zachowali się jak Piłsudski po 1918 roku – z pociągu „socjalizm” wysiedli na przystanku „niepodległość”. I nawet zwykły niemiecki chadek jest na ich tle czerwony.

– Mogli zawałczyć. W 2001 roku zdobyli w wyborach parlamentarnych ponad 40 proc. głosów. Jak ten Chochoł z „Wesela” Wyspiańskiego – mieli „złoty róg”, mieli „czapkę z piór”...

– Wszystko wtedy mieli. Ludzie wierzyli w mit „drużyny fachowców”, odziedziczonej wprawdzie po PRL-u, ale to przecież profesjonaliści. Myślano, że ten dziki XIX-wieczny kapitalizm, który nastał wbrew naszej woli, pójdzie wreszcie w jasną cholerę. Bo wprawdzie ustroju nie da się na razie zmienić, ale będziemy mieć przynajmniej państwo socjalne, które podejmie działania uwzględniające interesy ludzi pracy. Ufano, że lewicowa partia zadba też o to, żeby to państwo „nie stało krzyżami”; żeby ta czarna, duszna przesłona klerykalizmu wreszcie została rozdarta i zaczęło być realizowane to, co na Zachodzie funkcjonuje od czasów Rewolucji Francuskiej.

– Teraz co nieco się im przypomniało. Znowu chcą walczyć. Krzysztof Gawkowski, sekretarz SLD, obiecał, że Zjednoczona Lewica „postawi na elektorat socjalny”. Będą wojować o niższy wiek emerytalny, o podniesienie najniższych emerytur o 200 zł, postarają się, żeby pensja minimalna została podwyższona do 2,5 tys. zł, a umowy śmieciowe zostały zlikwidowane. Polska będzie „krajem równych praw i równych szans”...

– Blabla, blabla. Dla lewicy, tej na serio, problemem nie byli i nie są tylko ludzie ubodzy i marginalizowani. Chodzi o klasy pracujące i ich interesy. Gdyby one były realizowane, coś takiego jak „problem elektoratu socjalnego” w ogóle by nie istniał. Trzeba było mówić o tym z trybuny sejmowej. Trzeba tam było walczyć o to, żeby ten burdel zmienić. A SLD zamiast tego wprowadził własny, jeszcze gorszy: m.in. eksmisje na

bruk, zamach na bary mleczne dla najuboższych i możliwość eksploatacji bursztynu przez księdza Jankowskiego, który mógł sobie dzięki temu wyposażyć kościół św. Brygidy. Wypowiedzi takie jak ta Gawkowskiego – to paplanina typowa dla aparatczyków, którzy już dawno przestali używać umysłu. Bo i po co mieliby to robić? Do noszenia teczki za Millerem wystarczą ręce.

– Powiedział muchomor zadziwiony tym, że nikt go nie lubi.

– Ani zadziwiony, ani zmartwiony. Przeciwnie: im więcej będzie takich, którzy mnie nie lubią, tym lepszy będę miał humor, ponieważ podkreśli to tylko moją osobność. Osobność człowieka, który nie przestał myśleć lewicowo, czyli antykapitalistycznie. I którego dramat polega na tym, że wciąż brak nam lewicy, wyrażającej interesy klas pracujących i organizującej ich działania.

– W tym roku powstało ugrupowanie Wolność i Równość...

– Niech Pani da spokój. To tylko plankton...

– ...Powstała też Partia Razem, której nawet „Gazeta Wyborcza” i portal Tomasa Lisa wróżą jakąś przyszłość, bo w chwili poczęcia nie padła ofiarą wojny przerośniętych ego swoich działaczy. Zaczęła od dołu, od budowania struktur i pisania programu...

– ...Tak jak wcześniej Dom Wszystkich Polska Ryszarda Kalisza, ten nieszczęsny WiR czy niezależne od SLD komisje robotnicze, których też już sporo powstało... Wszystko to jest planktonem. Każda tzw. lewicowa partia na naszej scenie politycznej wydaje się być stworzona jakby ze swoistej z piany morskiej. Za każdym razem jednak, kiedy uderza o brzeg, gównem z niej zostaje. Takie są prawa natury. Dopóki bowiem ci „lewicowi” politycy nie będą czuli na swoich karkach ciężkiego, skacowanego oddechu mas i dopóki nie zwiążą się z nimi naprawdę, nic a nic się nie zmieni. Te skacowane, sfrustrowane masy nie uznają ich za godnych jakiegokolwiek uwagi.

– Jakie masy, Panie Profesorze?! Gdzie one się mają organizować? W kilkuosobowych firmach rodzinnych?

– Pamięta pani, jak zaczynał Ludwik Waryński ze swoim Proletariatem? Byli marginalną grupką ideowców. Budowali struktury, tworzyli program i niewiele znaczyli. I oto w lutym 1883 roku oberpolicmajster warszawski Buturlin obwieścił, że wszystkie kobiety pracujące w fabrykach, warsztatach i magazynach oraz usługujące w restauracjach mają zostać poddane nadzorowi policyjnemu i kontroli lekarskiej, jeśli za ich moralność nie zaręczą właściciele zakładu. Waryński potraktował to jak obelgę, bo w ten sposób traktowano prostytutki. Swoim ludziom powiedział: „Chcą walki? No to będą ją mieli!”. I kilka dni później „Proletariat” wydał odezwę, w której napisał: „A więc dość żyć z pracy, by nieść na swym czole piętno prostytutki. Więc żony, córki i siostry wasze, które los zmusił pracować, prawo zalicza do rzędu ulicznych nierządnic handlujących swym ciałem. By uniknąć hańbiącej rewizji, trzeba pozyskać względy pana-fabrykanta; każdą robotnicę, która we wszystkim ulegać mu nie zechce, odda on w ręce policji i na listę prostytutek zapisze!”. W kilku tysiącach egzemplarzy wydali ulotkę wzywającą „do oporu nikczemnemu rozporządzeniu”, rozlepili ją po całej Warszawie, podkładali robotnikom do warsztatów, w kieszenie, na parkany. I w końcu rząd musiał się wycofać ze swojego rozporządzenia. Proletariat zwyciężył i zaczął rosnąć w siłę. A może mi Pani podać choćby jeden przykład z ostatnich lat, kiedy „towarzysze z SLD” zorganizowali jakikolwiek oddolny protest w obronie robotników? Owszem, strajki co jakiś czas wybuchają, i na Śląsku, i w innych regionach. Ale tzw. lewica nie zawraca sobie nimi głowy, bo po jaką cholere?

– Kto wygra wybory w październiku?

– Zapewne PiS. A wygra dlatego, że ci, którzy nie poszli na wybory prezydenckie, teraz – wychodząc z założenia, że to i tak niczego nie zmieni – w większości też nie pójdą głosować.

– Pan pójdzie?

– Nie wiem, bo nie chcę PiS-u, ale dość mam partii pozostałych. W 2011 roku głosowałem na Twój Ruch. Wiedziałem, że Palikot nie jest z mojej bajki, ale on jako jedyny wydawał się być przynajmniej prawdziwym antyklerykałem. I kolejny raz okazałem się naiwny. Palikot zrzucił maskę i ukazała się szczurza mordka drobnomieszczanina, który dba wyłącznie o prestiżowe miejsce w „klasie (tfu!) politycznej”. A ja doświadczyłem tego, co jeden z moich bliskich krewnych, który po tzw. transformacji ustrojowej oddawał głos najpierw na SdRP, a potem na SLD. Łudził się nadzieją, że zahamuje władcze zapędy i klerykalizację państwa. Szybko się jednak okazało, że nic z tego. Bo to ani antyklerykałowie, ani lewica.

– Partia Kaczyńskiego jest lewicowa?

– Nie. Prokapitalistyczna. Jest jak rzodkiewka: z wierzchu czerwona, w środku – biała. Dobrze się będzie czuła w (zmodyfikowanym) neoliberalnym sosie i w tumanach kadzideł. Nawet, gdy mówi o rosnącym rozwarstwieniu społecznym, nie wykracza poza komunały. Traktuje to tylko jako chwyt propagandowy, który ma służyć przyciągnięciu jeszcze większej grupy idiotów. Prawdopodobnie przyciągnie też sporo pajaców z tzw. lewicy. „Chłopców do wynajęcia” nigdy tam nie brakowało.

– Z nimi PiS może zdobyć konstytucyjną większość.

– Może, ale nie musi. Ale jeśli już się tak stanie, to wróżę ponure igrzyska, które będą farsą dawnego „karnawału Solidarności”. Tamten bunt był klasowy, teraz jego formy wypełni sentymentalny nacjonalizm i tryumf stada biskupów. Przy okazji Miller, który od lat powtarza, że ważne jest nie to, jak mężczyzna zaczyna, ale jak kończy, będzie trwał z opuszczonymi spodniami i wszyscy zobaczą, że (jako socjaldemokrata) jest nie tylko bez jaj, lecz ani socjał, ani demokrata. Sądzę też, że się wydarzy wielki cyrk wewnątrz zwycięskiej partii. Teraz jeszcze, do wyborów parlamentarnych,

prezes Kaczyński i jego wesoła drużyna maszerują zgodnie jako „jednolitofrontowcy”. Jak w 2005, gdy przejmowali władzę pierwszy raz. Ale gdy ją już zdobędą, zacznie się rozkład. I w puch się marny zamienią, bo Wielka Konstrukcja Wielkiego Stratega, czyli pomysł na „pacynkę” w Belwederze i „pacynkę” na stolcu premiera okażą się diabła warte. Jedna „pacynka” już dzisiaj próbuje przecież budować niezależny ośrodek prezydencki. Druga też coraz bardziej stoszy pióra. Pan prezes na pewno zechce spacyfikować obie, ale to wróży konflikty. A będzie miał je także wewnątrz partii, bo konfitur do rozdania będzie za mało. Ludzi pracy tylko szkoda. Znowu dostaną w dupę i – najgorsze – że nie będą wiedzieć dlaczego, bo nie będzie mądrej lewicy, która wyjaśniłaby prawdziwe tego powody.

– Ale ludzie wcale nie chcą, żeby się nad nimi użalać. W ostatniej „Diagnozie społecznej” prof. Janusz Czapiński usłyszał aż od 81 proc. badanych, że są przeszczęśliwi. Szybko im rosną dochody, majątki, oszczędności... Chleb mają, chcą tylko igrzysk, czyli zmiany władzy, bo zrobiło się nudno.

– Gdyby moja żona, która jest nauczycielką w liceum, odeszła teraz na emeryturę, otrzymałaby tę najniższą, głodową. Trudno mi sobie wyobrazić, że na pytania ankieterów odpowiada: „Do szczęścia brakuje mi tylko środków, które w puch by rozbiły moją nudę”.

– Czyli nie wierzy Pan w wyniki „Diagnozy” Czapińskiego.

– One są mi obojętne, o niczym nie świadczą. To tylko dobra bajka. Wyniki badań zależą od metodologii i od rodzaju stawianych pytań, a te zawsze można skonstruować tak, że uzyskamy odpowiedź, na której nam zależało. Czy w „Diagnozie” zapytano np. o stosunek do emigracji? Nie. Czy zostało zadane pytanie o ocenę położenia emigrantów w stosunku do położenia polskich rodzin? Również nie... Idźmy dalej. Wiele zależy od tego, gdzie badanie się przeprowadza. Interesuje nas, na przykład, kwestia tzw. rozwarstwienia społecznego. Inne

odpowiedzi uzyskamy na Śląsku, gdzie zamykaniu kopalń towarzyszy coraz większa niepewność ekonomiczna rodzin górniczych, jeszcze inne – na będących wciąż ropiejącą raną terenach postpegeerowskich; a już całkiem inne w metropoliach takich jak Warszawa czy Wrocław. Jeśli z pola widzenia wyeliminuje się strukturę społeczną, respondenci uczestniczący w takich badaniach stają się abstrakcjami. Ale inteligentni apologeti w togach uczonych nie muszą tego zauważać. I tak im ich robota się opłaca. Mnie pozostaje trucie. Jak to muchomorowi.

Z prof. dr hab. Janem Kurowickim rozmawiała Halina Retkowska
Źródło: Strajk.eu